

Któregoś pięknego lipcowego dnia, brodząc przy brzegu rzeki, która przepływała tuż obok naszej wioski, zobaczyłem, że drogą od strony Łupek ciągnie tabor cyganów. Krzyknąłem do kolegów leżących nieopodal i zapatrzonych w błękitne niebo – cygany – a oni, jak na komendę zerwali się z nagrzanego ziemi i spojrzeli w stronę, którą pokazywałem palcem.

Wyszedłem z wody, chwyciłem ubrania i pognałem za chłopakami w stronę wioski. Narobiliśmy zamieszania na wsi, pędząc od domu do domu i krzycząc w otwarte okna lub drzwi. Wiadomo było, że jeśli cyganie pojawiają się w okolicy, należy wzmoczyć czujność i mieć na oku nie tylko rzeczy, ale i zwierzęta, które w tym czasie ginęły w tajemniczych okolicznościach. Żeby mogli rozbić obóz na pobliskich łąkach, musieli otrzymać zgodę od sołtysa, czemu ten nie był zbyt przychylny. Jedynym plusem takiego ich pobytu było to, że mieli u siebie świetnego kowala, a u nas, żeby podkuć konia czy naprawić narzędzia rolnicze, trzeba było udać się do oddalonego o dwie godziny jazdy wozem miasteczka Łupek. Toteż, kiedy kowal Sandor rozłożył swój przenośny warsztat, zjeżdżali do niego chłopcy nie tylko z naszej wioski, ale i z okolicy. Płacili przeważnie w towarze, czyli zbożem, owsem, jajami albo drobiem, dlatego też cyganie od Sandora byli lepiej traktowani niż inni, którzy nie potrafili nic innego, tylko kraść i głośno się bawić.

Kiedy już obiegliśmy wioskę, obwieszczając wszem i wobec, że nadciąga tabor, pobiegliśmy w kierunku skąd nadciągały wozy. Cały tabor zatrzymał się tuż przed wioską a w naszą stronę szedł kowal Sandor cieszący się posłuchem wśród cyganów, a obok niego, podparty o laskę szedł staruszek Tagar, król cyganów. Mijając naszą trójkę, Tagar zatrzymał się i dotykając laską mojego podbródka i podnosząc mi nieco głowę do góry, zapytał:

- I co mi mały powiesz? Wszystko dobrze?

- Tak – odpowiedziałem, patrząc mu prosto w te jego ciemne, prawie czarne oczy. No bo cóż mu miałem powiedzieć? Że matka coraz słabsza i coraz więcej obowiązków spadało na wątłe ramiona Zosi a w domu czasem bywało tak, że nie było za bardzo co do ust włożyć.

- Przyjdźcie pod wieczór do naszego obozu to zjecie trochę ziemniaków z ogniska – zabrał laskę z mojego podbródka, stuknął nią o ziemię i już ruszając odwrócił jeszcze głowę i zapytał:

- Jak ci na imię chłopcze?

- Antoni, ale wszyscy mi mówią Tosiek.

- A więc Tośku do wieczora.

Kiedy wróciłem do domu i opowiedziałem matce o tej rozmowie, powiedziała żebym bardzo uważał, bo cyganie czasem porywają dzieci i wywożą je ze sobą w dalekie strony. Muszę przyznać, że napędziła mi tym stracha i cała radość z wyprawy do cygańskiego obozu gdzieś uleciała, jednak postanowiłem nie mówić w domu o tym, że się tam wybieram. Kiedy przyprowadziłem z pastwiska krowę, pobiegłem po Karola i Janka i całą trójką ruszyliśmy na łąki, gdzie jak kolorowe kwiaty rozkwitły cygańskie wozy i namioty. Po drodze mijaliśmy chłopów wracających z podkutymi końmi, zadowolonych, że nie musieli wybierać się do miasta.

Na końcu szerokiej łąki, na zakręcie rzeki, gdzie często chodziliśmy łowić ryby, płonęło już ognisko. Słychać było rżenie koni i śpiew w nieznanym nam języku.

- Tosiek masz stracha? – zapytał Karolek.

- No co ty, czego miałbym się bać? – próbowałem nadać swojemu głosowi zdecydowany ton, ale nie jestem pewien czy osiągnąłem zamierzony efekt.

- Mój dziadek mówi, że cygany jedzą małe dzieci – wtrącił się do rozmowy Jasio, najmniejszy z nas wszystkich.

- Głupis Jasiu. Ludzie wymyślają takie historie, bo nie lubią cyganów – oczywiście nie wspomniałem ani słowem o tym co mówiła mi matka.

Dalej szliśmy już w milczeniu. Coraz wyraźniejszy zapach dymu z ogniska zaczął drażnić nasze powonienie i szczypać w oczy. Postanowiliśmy zmienić kierunek i podejść do obozu od drugiej strony, gdzie dym nie sięgał naszych twarzy. Był tam niewielki zagajnik, z którego drzew czasem skakaliśmy do rzeki. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i delikatny chłód ciągnął od rzeki. W tej chwili żałowałem, że nie wziąłem nic cieplejszego na siebie.

Przystanęliśmy za drzewami tuż obok pierwszych wozów, skąd było widać cały obóz. Ogień płonął wesoło, drzewo trzaskało wyrzucając w górę mnóstwo iskier. Stara cyganka mieszała co jakiś czas w dużym kotle wiszącym nad ogniskiem i zapach gotującej się stawy unosił się w powietrzu.

Po krótkiej chwili przepychanek i poszturchiwań, wyszliśmy na polanę. Stanęliśmy obok żółtego wozu i znów patrzyliśmy na wieczorne życie w obozie. Jeden z młodych cyganów wziął do ręki skrzypce, brzdąknął kilka razy i po chwili po łąkach rozniosła się piękna cygańska pieśń. Młode kobiety poderwały się z miejsc i zaczęły tańczyć. Staliśmy jak urzeczeni, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że z tyłu skrada się do nas dwóch nastolatków. Po chwili prowadzili nas drących się w niebogłosy, bo strasznie bolały nas uszy, za które ciągnęli nas stronę ogniska. Muzyka ucichła, kobiety zamarły w tańcu a dzieci podbiegły do nas, ciekawie się nam przyglądając. Zrobiło się gwarnie, lecz nie mogliśmy z tego zrozumieć. Staliśmy teraz na środku okręgu jaki wokół nas utworzyli cyganie i pocieraliśmy obolałe uszy.

Nagle część okręgu rozsunała się i wrzawa ucichła. W asyście dwóch mężczyzn szedł Tagar, podpierając się piękną, rzeźbioną laską. Zatrzymał się przed nami, pokiwał kilka razy głową w górę i w dół i odezwał się, stukając mnie lekko końcem laski w pierś:

- Wiedziałem, że przyjdiesz. Jesteś taki sam jak twój ojciec.

Nie miałem pojęcia, że znał mojego ojca. Pewnie jako naprawiał u niego jakieś narzędzia, może czasem ostrzył siekiere.

Zaproszono nas do ogniska i poczęstowano miseczką gulaszu, jakiego do tej pory nigdy jeszcze nie miałem w ustach. Znów zagrała muzyka, kobiety zaczęły tańczyć a stary Tangar, który jako jedyny siedział na szerokim krześle, zawołał abym usiadł obok niego. Sandor przyniósł wysoki pniak i posadził mnie na nim, także nie musiałem się wysilać, żeby usłyszeć co do mnie mówi.

Tego wieczora dowiedziałem się od Tangara, że Sandor i mój ojciec byli przyjaciółmi od dziecka. Kiedyś Sandor ze Stasiem, bo tak miał na imię ojciec, wybrali się nad rzekę na ryby. Mieli wtedy po osiem lat. Oddalili się od obozu, udając się na tak zwany Żółty Brzeg, miejsce piękne niczym mały skrawek plaży, ale woda tam była pełna wirów i bardzo niebezpieczna. Chodzili tam kąpać się tylko starsi chłopcy i zawsze przeganiali tych młodszych, twierdząc, że są za mali, żeby tam pływać. Chłopcy jednak postanowili pójść i zobaczyć, może akurat nie będzie nikogo i uda im się połowić w spokoju ryby.

Szczęście się do nich uśmiechnęło – Żółty Brzeg był pusty. Rozłożyli wędki zrobione im przez ojców, założyli przynęty, zarzucili i czekali. Co jakiś czas musieli wyciągać spławiki i ponownie zarzucać, bo woda zciągała spławik w kierunku gałęzi zanurzonych częściowo w wodzie a to groziło jego utratą.

Po dłuższym wpatrywaniu się w nieruchome spławiki, nagle Staszek zaczął mieć branie. Musiała być to jakaś większa ryba, bo nie mógł sobie dać z nią rady. Widząc to Sandor porzucił swoją wędkę i podbiegł pomóc przyjacielowi. Wspólnymi siłami, po dłuższej walce udało im się wyciągnąć sporego klenia.

Kiedy już ochłonęli z tych emocji, zauważyli z rozczarowaniem, że spławik Sandora zaplątał się w gałęzie, czego tak bardzo chcieli uniknąć. Nie było rady, jeden z nich musiał wejść do wody, a ponieważ Sandor był wyższy i lepiej pływał, postanowił wejść do wody.

Nie jest łatwo w wieku ośmiu lat, wejść do wody, o której się słyszało, że jest tak niebezpieczna, ale nie było wyjścia, tak im się przynajmniej wówczas wydawało. Niestety, mały cygan miał się przekonać na własnej skórze jak bardzo niebezpieczna jest rzeka. Kiedy już prawie sięgał ręką po spławik zaplątany w gałęzie, nagle stracił grunt pod nogami i jego głowa zniknęła w burych odmętach wody, by po chwili znów pojawić się na powierzchni. Rzeka tuż za zakrętem, nabierała rozpędu i stawała się jeszcze groźniejsza.

Staszek stojący na brzegu i obserwujący całe to zajście nie stracił jednak głowy. Urwał z drzewa długą gałąź i pognał z nią wzdłuż brzegu, wyprzedził pojawiającego się co jakiś czas na powierzchni Sandora i stojąc w wodzie podał przyjacielowi gałąź. Gdyby skoczył mu od razu na ratunek i płynął za nim, próbując go uratować, zapewne obaj by się utopili.

- Twój ojciec w tak młodym wieku, potrafił zachować zimną krew, dzięki czemu uratował mojego syna. Tego wieczora dowiedziałem się wiele rzeczy o moim ojcu i byłem strasznie dumny z tego co zrobił, będąc małym chłopcem.

Wracaliśmy przez szerokie łąki, nad którymi unosiła się mgła, przenikając cienkie koszulki i sprawiając, że telepaliliśmy się z zimna. Żeby się rozgrzać, postanowiliśmy biec. Potem, zanim się rozeszliśmy każdy w swoją stronę, zatrzymaliśmy się obok żurawia i postanowiliśmy chwilę odetchnąć.

Kiedy wróciłem do domu, matka czekała na mnie siedząc przy kuchennym stole. Lampa naftowa rzucała niewyraźne cienie a po kątach rozlewał się mrok. Długo musiałem się tłumaczyć, gdzie byłem i co robiłem, że zapomniałem o bożym świecie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Manuel del Kiro, dodano 01.04.2020 12:29

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.